

Życie to krótki sen. Biografia Stanisława Soyki

Beata Biały

[PRZEDPREMIEROWY FRAGMENT]

Są piosenki, które powstają z miłości. Są takie, które rodzą się z zachwyty. Są też takie, które przychodzą z bólu, bezradności i niezgody na świat. Jedną z nich była *Tolerancja*. Nie zaczęła się jednak od muzyki. Ani od gitary, studia nagraniowego czy zapisanej kartki. Zaczęła się od lęku. Dziś trudno sobie wyobrazić tamtą Polskę. Początek lat dziewięćdziesiątych. Kraj dopiero uczył się wolności. Jedni zachłystywali się nowym światem, inni próbowali odnaleźć się w rzeczywistości, która zmieniała się z dnia na dzień. A gdzieś obok tego wszystkiego pojawiła się choroba, o której wiedzieliśmy bardzo niewiele. AIDS. Samo słowo wystarczało, by uruchomić zbiorową panikę. Ludzie bali się wszystkiego. Dotyku. Wspólnej szklanki. Wspólnego talerza. Wspólnej ławki. Bali się nawet powietrza. Strach był większy od wiedzy. Większy od współczucia. Większy od rozsądku.

Ksiądz Arkadiusz Nowak pamięta tamten czas bardzo dokładnie.

– Dzisiaj młodym ludziom trudno to wytłumaczyć. Oni nie pamiętają tamtej atmosfery. Nie pamiętają gazet pełnych sensacyjnych nagłówków. Nie pamiętają tego lęku. A on był ogromny. Czasem miałem wrażenie, że ludzie bardziej bali się chorych niż samej choroby.

Kiedy w Konstancinie powstał ośrodek dla osób z HIV i AIDS, niemal natychmiast pojawił się opór. Najpierw nieufność. Potem protesty. Później agresja.

– To nie było zwykłe niezadowolenie mieszkańców. Tworzono komitety protestacyjne. Pisano petycje. Pojawiały się pogróżki. Ludzie rzucali kamieniami. Były nawet butelki z benzyną. Dzisiaj brzmi to nieprawdopodobnie, ale naprawdę tak było – wspomina ksiądz Nowak, który stworzył ośrodek.

W środku tego wszystkiego żyło dziewięć młodych ludzi. Dziewięć. Ta liczba wraca do księdza Nowaka po latach równie wyraźnie jak ich twarze. Każdy miał własną historię. Własne marzenia. Własny ból. Jedni zarazili się przez narkotyki, inni przez kontakty seksualne. Każdy z nich nagle znalazł się po drugiej stronie świata. Po stronie tych, których przestano dotykać, odwiedzać i przytulać.

– Najbardziej porażało mnie jedno. Przez bardzo długi czas nikt z rodzin do nich nie przyjeżdżał. Nikt. Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić. Ale taki był wtedy poziom lęku – opowiada.

Właśnie wtedy pojawiła się Kora. Nie jako gwiazda. Ani nawet jako artystka. Przyszła jako człowiek. Weszła do środka i została. Rozmawiała godzinami. Zabierała mieszkańców ośrodka na koncerty. Zapraszała ich do siebie. Przywoziła jedzenie. Przywoziła śmiech. Przywoziła normalność. A potem nawet niemal zamieszkała w ośrodku.

– Kora właściwie stała się częścią tego miejsca. Po pewnym czasie bardziej dziwiło nas, kiedy jej nie było, niż kiedy przyjeżdżała – wspomina ksiądz.

Niedługo później przywiozła ze sobą Stanisława Soykę. Nowak śmieje się dziś, że z Soyką właściwie od początku byli sobie bliscy.

– Byliśmy ze Śląska. Ja z Rybnika, on z Żor. Kilkanaście kilometrów różnicy. Szybko okazało się, że mamy wspólne miejsca, wspomnienia i znajomych – opowiada.

Ale nie geografia okazała się najważniejsza. Najważniejsze było coś innego. Soyka od pierwszego spotkania nie zachowywał się jak człowiek sławny. Nie budował dystansu. Nie tworzył wokół siebie aury niedostępności. Nie próbował imponować.

– Zanim go poznałem, wydawał mi się trochę chłodny. Może przez tę jego muzykę. Taką wysublimowaną, intelektualną, bardzo własną. Myślałem, że za tym wszystkim stoi ktoś zdystansowany. A potem okazało się, że jest dokładnie odwrotnie. Że to serdeczny, ciepły i zwyczajny człowiek – mówi ksiądz. – Ani my, ani nasi podopieczni po pewnym czasie nie patrzyliśmy na niego jak na gwiazdę. Oczywiście wiedzieliśmy, że to Stanisław Soyka. Ale kiedy siadał przy stole, przestawał być artystą. Stawał się po prostu Staszkiem.

Był stół. Duże okno. Dużo światła. Ludzie siedzący razem. Rozmowy. Karty. Wspólne posiłki. Śmiech. Zwyczajne życie.

– Dokładnie to pamiętam najbardziej. Nie koncerty. Nie telewizję. Nie wywiady. Stół. Siedzieliśmy wokół niego wszyscy razem. Rozmawialiśmy. Jedliśmy. Ktoś żartował. Ktoś opowiadał historię. Ktoś się śmiał – wspomina Nowak.

Może właśnie tam zaczęła się *Tolerancja*. Jeszcze nie jako piosenka. Jeszcze nie jako melodia. Najpierw jako doświadczenie. Jako spotkanie ludzi, których większość społeczeństwa nie chciała widzieć. Jako próba przywrócenia im godności. Jako zwykłe bycie razem. Bo zanim pojawiły się słowa „Kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień”, był człowiek. A zanim pojawiła się muzyka, było słuchanie. I właśnie przy tym stole któregoś dnia padło pytanie, które miało zmienić wszystko. Dlaczego inni na świecie mogą organizować koncerty charytatywne, a my nie możemy zrobić własnego? To pytanie uruchomiło historię, która po latach miała stać się jedną z najważniejszych opowieści w życiu Stanisława Soyki. Dzisiaj nikt już nie potrafi powiedzieć, kto wypowiedział je pierwszy. Może był to ksiądz Arkadiusz Nowak. Może Kora albo Soyka. Może padło mimochodem podczas jednej z wielu rozmów. Faktem jest, że nagle wszyscy zaczęli myśleć o wielkim koncercie. Takim, który nie będzie tylko zbiórką pieniędzy, a stanie się głosem ludzi, których nikt nie chciał słuchać.

Dzisiaj łatwo powiedzieć: koncert. Wtedy było to przedsięwzięcie niemal szalone. Polska dopiero wychodziła z komunizmu. Nie było wielkich sponsorów, gotowych mechanizmów ani doświadczeń. Był pomysł. I grupa ludzi, którzy uznali, że warto spróbować. Wtedy zaczęły się telefony. Rozmowy. Spotkania. Poszukiwanie artystów. I ku zdziwieniu organizatorów odpowiedzi były niemal zawsze takie same. Tak. Przyjedziemy. Zaśpiewamy. Pomożemy.

– Była ogromna życzliwość. Naprawdę ogromna. Ludzie chcieli pomóc. Kora była oczywista. Staszek był oczywisty. Potem zaczęli pojawiać się kolejni – opowiada ksiądz Nowak.

Lista nazwisk rosła z tygodnia na tydzień. Dla wielu osób był to pierwszy moment, kiedy temat AIDS przestał być anonimowym problemem z gazet, a stał się historią konkretnych ludzi. Na scenie pojawili się najwięksi. Kora. Stanisław Soyka. Tomasz Stańko. Marek Grechuta. Czesław Niemen. Wielu występowało bez honorariów. Inni pomagali organizacyjnie. Ktoś załatwiał sprzęt. Ktoś noclegi. Ktoś transport. Nagle okazało się, że wokół jednego pomysłu można zgromadzić ludzi z bardzo różnych światów. Maria Szablowska pamięta przede wszystkim atmosferę tamtych przygotowań.

– Nie było w tym cynizmu. Dzisiaj często pytamy, co komuś się opłaca. Wtedy ludzie po prostu chcieli pomóc. Pamiętam też, jak profesor Penderecki zapytał mnie kiedyś o Staszka. Powiedział: „Czy ten Sojka jest naprawdę aż tak zdolny?”. Odpowiedziałam bez wahania: „Jest jeszcze zdolniejszy, niż się panu wydaje” – wspomina Szablowska. Dla niej tamten czas był dowodem na to, jakim autorytetem cieszył się Soyka w środowisku muzycznym. – Pamiętam atmosferę wokół tego koncertu. To nie było wydarzenie organizowane dla prestiżu. Ludzie naprawdę wierzyli, że robią coś ważnego. A Staszek był jednym z tych, którzy nadawali temu wszystkiemu sens.

Ale równolegle rodziło się coś jeszcze. Piosenka. Po latach każdy pamięta jej narodziny trochę inaczej. Może właśnie dlatego ta historia jest tak piękna. Bo przypomina prawdziwe życie. W nim rzadko istnieje jedna wersja wydarzeń.

Książd Arkadiusz Nowak:

– Rozmawialiśmy o nazwie koncertu. Padło słowo „tolerancja”. Ktoś powiedział: „Skoro koncert ma się tak nazywać, może warto napisać do niego piosenkę”. Staszek się zamyślił. Powiedział, że spróbuje. Spotkaliśmy się ponownie dzień czy dwa później. Przyjechał z gitarą. Usiadł. Zaczął grać. Potem przeczytał tekst. Powiedział, że napisał go w ciągu jednej doby.

Maria Szablowska pamięta to trochę inaczej. Bardziej z perspektywy środowiska muzycznego niż samego ośrodka w Konstancinie.

– Pamiętam, że Staszek i Yanina pracowali nad tą piosenką bardzo intensywnie. Rozmawialiśmy o niej. Pokazywali fragmenty. Zastanawiali się nad słowami. Już wtedy miałam poczucie, że powstaje coś wyjątkowego. Nie dlatego, że to będzie przebój. Dlatego, że tam była prawda.

A Janusz Yanina Iwański przenosi nas jeszcze gdzie indziej. Do hotelowego pokoju podczas jednej z tras koncertowych.

– Pamiętam ten poranek. Po śniadaniu Staszek powiedział: „Wpadnij do mnie do pokoju, coś ci zagram”. Wziął gitarę i zaśpiewał nową piosenkę. Kiedy skończył, spojrzał na mnie i zapytał: „Słyszałeś to już gdzieś?”. To jest pytanie, które zna każdy kompozytor. Człowiek czasem boi się, że nieświadomie powtórzył czyjąś melodię. Posłuchałem jeszcze raz. I pomyślałem wtedy: nie, tego nigdzie nie było. Ale pomyślałem też coś innego. Że mamy przebój. – Yanina śmieje się dziś, wspominając tamto nagranie. – To wcale nie była wielka produkcja. Ludzie myślą czasem, że takie rzeczy powstają miesiącami. Tymczasem weszliśmy do studia i zrobiliśmy to bardzo prosto. Staszek nagrał podstawową gitarę i wokale. Ja dołożyłem

kilka ścieżek gitarowych. Potem były kłaśnięcia. Chórek. Nic wielkiego. Nie było perkusji. Nie było wielkiej orkiestry. Było kilka gitar, głos Staszka i emocje.

W tym chórkę śpiewała grupa studentów warszawskiej szkoły teatralnej. Jedną z nich była młodziutka Małgorzata Kożuchowska. Nikt nie przypuszczał wtedy, że uczestniczy w nagraniu utworu, który stanie się częścią historii polskiej muzyki.

Najbardziej niezwykle jest jednak to, że wszyscy wspominają nie sam proces nagrywania, lecz emocje. Jakby od początku było jasne, że chodzi o coś więcej niż piosenkę.

– To nie była piosenka o AIDS – mówił po latach ksiądz Nowak. – To była piosenka o człowieku.

Właśnie dlatego słowa zabrzmiały z taką siłą. „Kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień...”. Dla większości słuchaczy był to cytat z Ewangelii. Dla mieszkańców ośrodka w Konstancinie był czymś znacznie bardziej osobistym. Opowieścią o ich własnym życiu. O kamieniach, które naprawdę leciały w stronę ich domu. O ludziach, którzy wydawali wyroki, nie znając historii. O samotności. O odrzuceniu. Może właśnie w tym tkwi tajemnica *Tolerancji*. Nie w melodii, aranżacji, nawet nie w genialnym refrenie. Tajemnica tkwi w tym, że zanim powstała piosenka, był człowiek.

Kiedy nadszedł dzień koncertu, Sala Kongresowa pękała w szwach. Ksiądz Nowak wciąż pamięta tamto napięcie. Nie dlatego, że obawiał się organizacyjnej katastrofy. Bał się czegoś innego. Czy ludzie zechcą usłyszeć historię tych, których przez tyle miesięcy omijali wzrokiem? Czy będą chcieli słuchać o chorych, których tak bardzo się bali? A potem zabrzmiała *Tolerancja*. I nagle wszystko ucichło. To nie był jeszcze wielki przebój. Nie było legendy. Była tylko piosenka śpiewana po raz pierwszy przed takim tłumem. A jednak wielu obecnych wspominało później, że już wtedy poczuli, iż dzieje się coś niezwykłego.

– Od początku bardzo mi się podobała – mówi po latach ksiądz Nowak. – Ale naprawdę usłyszałem ją dopiero wtedy. W Sali Kongresowej. Z ludźmi. Z emocjami. Z historią tych wszystkich osób siedzących gdzieś obok nas.

Właśnie wtedy *Tolerancja* przestała należeć wyłącznie do Soyki. Stała się własnością ludzi, którzy odnaleźli w niej swoje doświadczenie odrzucenia, winy, samotności albo przebaczenia. Dla publiczności była nowym utworem Stanisława Soyki. Dla dziennikarzy kolejnym ważnym głosem w społecznej debacie. Dla środowiska muzycznego znakomitą kompozycją, która natychmiast zapada w pamięć. Ale dla ludzi mieszkających w ośrodku była czymś znacznie bardziej osobistym. Była dowodem, że ktoś ich zobaczył.

– Nie wiem nawet, czy oni analizowali każde słowo – wspomina Nowak. – Dla nich najważniejsze było coś innego. Że ktoś ich dostrzegł.

Przez wiele miesięcy świat robił wszystko, żeby ich nie widzieć. Odrzucali ich sąsiedzi. Odrzucały rodziny. Odrzucały instytucje. Nagle pojawił się człowiek, który nie tylko ich wysłuchał, ale jeszcze zamienił ich historię w muzykę. Trudno o większy gest czułości.

Ksiądz Nowak jest przekonany, że właśnie dlatego *Tolerancja* przetrwała próbę czasu. Nie dlatego, że była modna. Nie dlatego, że potem często grano ją w radiu. Dlatego, że wyrastała z prawdziwego doświadczenia.

– Kiedy Staszek pisał tę piosenkę, miał przed oczami konkretnych ludzi. Nie pisał o idei. Nie pisał o hasle społecznym. Pisał o twarzach, które znał. O chłopakach i dziewczynach, z którymi siedział przy stole. Myślę, że dlatego jest w niej tyle prawdy – mówi.

Maria Szablowska uważa, że właśnie ta prawda od początku odróżniała *Tolerancję* od wielu innych społecznie zaangażowanych utworów.

– Były już wcześniej piosenki protestu, piosenki o wolności, o polityce, o różnych sprawach społecznych. Ale tutaj nie było pouczenia. Nie było podniesionego palca. Było pytanie. I ono było skierowane do każdego z nas. Nie do polityków. Nie do dziennikarzy. Do zwykłego człowieka – opowiada.

Być może dlatego refren tak głęboko zapadł ludziom w pamięć. Nie oskarżał. Nie oceniał. Nie wskazywał winnych. Przypominał tylko coś, o czym wszyscy czasem zapominamy. Że każdy człowiek niesie własne błędy. Własne słabości. Własne potknięcia. I że bardzo łatwo rzucać kamieniami, kiedy samemu stoi się po bezpiecznej stronie muru.

Janusz Yanina Iwański mówi o Soyce z podziwem, ale bez przesadnego patosu. Jak przyjaciel, który widział go w chwilach wielkich i zupełnie zwyczajnych.

– Staszek miał niezwykłą umiejętność. Potrafił mówić o rzeczach ważnych w taki sposób, że człowiek nie czuł się pouczany. Nigdy nie miałem wrażenia, że stawia się wyżej od innych. On po prostu opowiadał o człowieku. I dlatego ludzie mu wierzyli.

Z perspektywy czasu coraz wyraźniej widać, że *Tolerancja* była czymś więcej niż przebojem. Stała się częścią zbiorowej pamięci. Piosenką, którą śpiewano na koncertach, festiwalach, spotkaniach i jubileuszach. Piosenką, która żyła własnym życiem długo po tym, jak ucichły emocje związane z pierwszym koncertem.

Po latach niemal wszyscy bohaterowie tej historii odeszli. Nie ma już większości mieszkańców ośrodka, dla których powstała ta piosenka. Nie ma Kory. Nie ma Marka Kotańskiego. Nie ma też Stanisława Soyki. Zostały wspomnienia, kilka fotografii, archiwalne nagrania i słowa, które wciąż wracają. Ksiądz Arkadiusz Nowak mówi dziś, że kiedy myśli o *Tolerancji*, nie widzi wielkiego koncertu ani Sali Kongresowej. Widzi kilka osób siedzących przy stole. Bo najważniejsze rzeczy bardzo często rodzą się właśnie w taki sposób. Po cichu. Bez fanfar. Bez świadomości, że za kilka lat staną się częścią historii. Może właśnie dlatego ta piosenka przetrwała. Bo zanim stała się utworem o tolerancji, była opowieścią o człowieku, którego ktoś postanowił zobaczyć.